

Maria Krüger

BYŁ SOBIE SMOK...



Opowieść ta jest pradawna, z owych odległych czasów, kiedy sprawy dziwne i niezwykle splatały się z dniem codziennym. A działo się to w tej okolicy, gdzie na Wawelskim Wzgórzu nad Wisłą — rzeką bystro płynącą, stał dwór książęcy. Piękny to był dwór, rozległy, budowany dla księcia przez najlepszych cieśli. A książę zwał się Krak i rządził rzetelnie, po gospodarsku i sprawiedliwie. Więc ludziom żyło się spokojnie i szczęśliwie.

Aż kiedyś stało się coś niedobrego. Zdarzyło się to po raz pierwszy wtedy, kiedy w przedwieczornej porze kobiety prały bieliznę w Rudawce, rzeczce niedużej, ale czystej, która opodal wpadała do Wisły. Słysząc było ich wesołe głosy i kłaśnięcia kijanek, którymi uderzały zanurzone w wodzie lniane koszule i ręczniki, kiedy naraz przycichły, bo wydało im się, że w oddali rozlega się jakiś krzyk. Poniechały więc wszelkiego hałasu i pilnie nasłuchiwały. Niektóre, przesłoniwszy dłonią oczy, spoglądały zaniepokojone w tę stronę, skąd dobiegał ów hałas. Jakoż po chwili przekonały się, że przez łąkę ktoś ku nim biegnie.

— Przecież to pasterz Domanek! — zawołała któraś. Inna też go teraz poznała. — Domanek, ten, co pasie owce! I cóż mu się stało?

Ale nic a nic nie mogły się dowiedzieć, bo tak się od biegu zadyszał, że słowa nie mógł wymówić. Tylko ręką pokazywał w tę stronę, gdzie było Wawelskie Wzgórze, oczy okropnie

wybaluszył i pojękiwał, jakby go nie wiadomo co dusiło za gardło.

— Mowę mu odjęło! — krzyknęła wtedy stara kowalowa Kolacicha i chyba miała rację. Zaraz też kobiety zaczęły się domyslać, co mogło być przyczyną tego zaniemówienia.

— Może wilk wyskoczył z lasu i porwał jagnię? Może jakiś utopiec wylazł z Wisły i pastuszka przestraszył? Albo może jakiś gad złośliwy ugryzł chłopaka? W tym wypadku należałoby prowadzić go zaraz do zielarki, żeby przed jadem ratowała.

Tymczasem w ślad za Domankiem przybiegło stado, którego miał strzec. Owce też były najwyraźniej przestraszone, zbite ciasno w gromadę. A beczały przy tym żałośnie i przejmująco.

Wreszcie, kiedy kobiety litościwie napoiły Domanka wodą, jakoś wróciła mu mowa i wtedy zaczął coś jąkać o jakimś potworze.

— Potwór? — zdziwiły się kobiety, zapominając całkiem o praniu. — Jaki potwór? Gdzie?

— Straszliwy potwór — zapewniał — wylazł z pieczary pod Wawelskim Wzgórzem! Wygląda jakby jaszczurka ogromna. A ryczy, a ryczy, jakby zagrzmiało w czas burzy! I ogień mu bucha z paszczy. Zaraz, zaraz, coś mi się teraz zdaje, że tych łbów to ma chyba tyle, co jest palców u ręki!

Domanek wyciągnął rozcapierzoną dłoń, żeby dokładniej pokazać, ile jest tych łbów. Teraz niektóre kobiety zaczęły rozglądać się trwożliwie, czy aby nie widać tej stwory straszliwej w pobliżu. Ale były też i takie, co nie chciały nic a nic wierzyć w te Domankowe strachy.

— Czy ci się aby, chłopcze, nie przyśniło? Możeś za dużo wypił piwka marcowego i sen cię zmorzył...

— Nijaki sen mnie nie zmorzył — bronił się Domanek — a co na to rzekiecie, że trzy owce ze stada porwał i połknął, jakby to były kluski?

— Wilk ci je pewnie porwał, a ty bajdy opowiadasz — wzruszyły ramionami i wróciły do swojego prania.

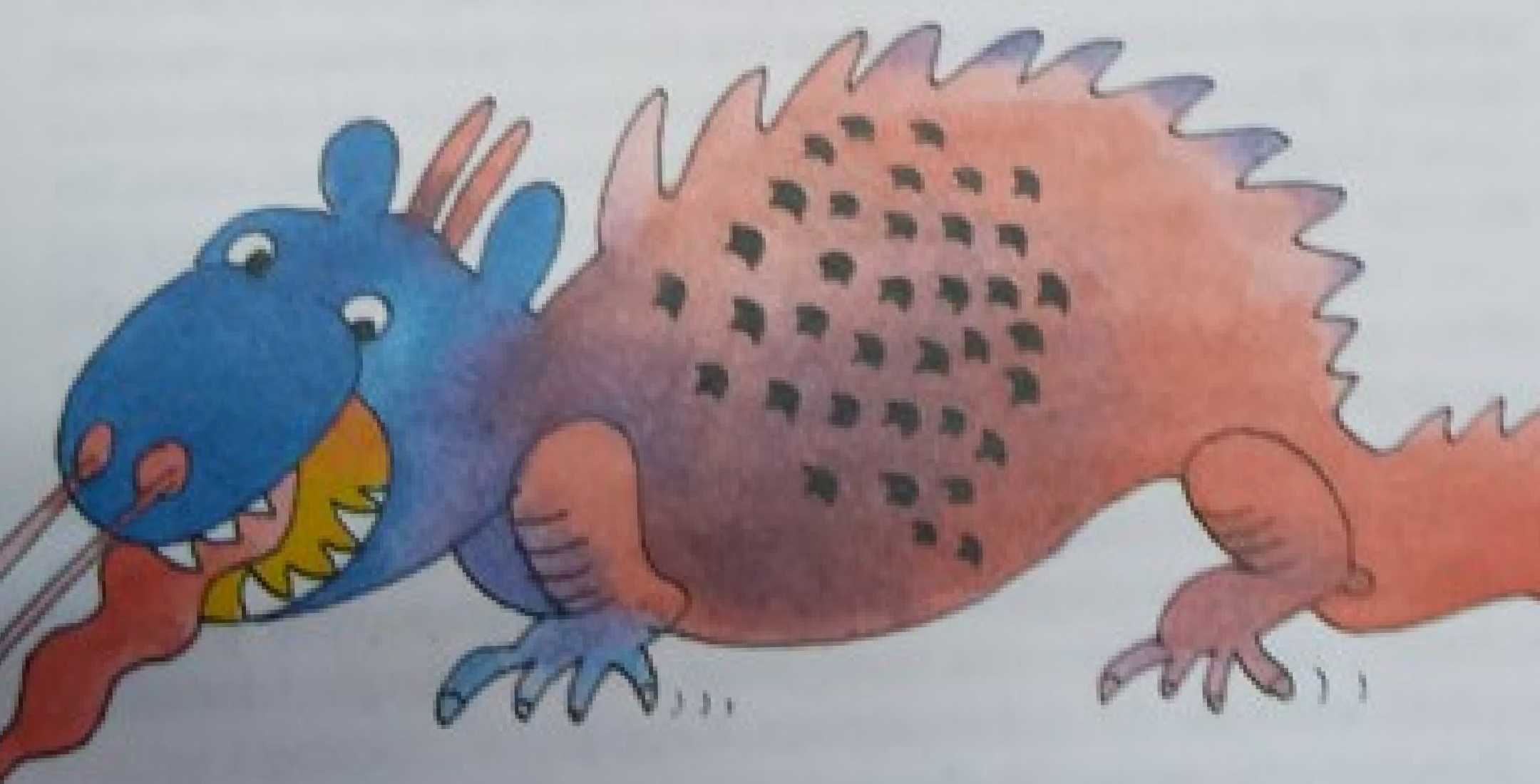
— Ale gdzie ono, gdzie? — Zaczęły się rozglądać niektóre. Przecież pozostawiły te swoje koszule i ręczniki, a także i duże płaty nowo utkanego płótna. A tymczasem tylko gdzieniegdzie

jeszcze bieli się jakaś szmatka, co się o trzciny zaczepiła, a resztę woda uniosła, hen do Wisły! Gdzie tam szukać!

— To wszystko przez te Domankowe bajdurzenie o potworze — tak sobie mówiły. A najbardziej zagniewana była szewcowa Skubina, jako że i jej nowiutką koszulę mężowską porwała woda. Więc bała się, co na tę stratę Skuba powie. I na Domanka wygadywała okropnie, że klamczuch i że leń, bo owiec nie pilnuje.

Ale przestała tak gadać, kiedy chyba w pięć dni później stara Boliborzyna, zalana łzami i cała drżąca, opowiadała, że także na własne oczy widziała owego potwora, kiedy porywał półroczną jałówkę. A Boliborzynie już trzeba było dać wiarę.

Potem Zdieszka, żona garncarza, też przysięgała, że ledwie uszła z życiem, kiedy niebacznie podeszła w stronę wzgórza, bo szukała zaginionego prosiaka. Przez trzy dni nie chciała wyjść z chaty, tak się wylękała. Co prawda byli i tacy, którzy i tak nie wierzyli w tego potwora, tylko powiadali, że to być może niedźwiedź ukrył się w podwawelskiej jaskini, i kiedy przez jakiś czas nic złego się nie zdarzyło, wydawało się, że chyba mieli rację, że niedźwiedź po prostu poszedł do lasu szukać miodu, a także i lepszego legowiska na zimę, bo wszystko to działo się już pod jesień.



Aż nagle ów stwór niebezpieczny pewnego dnia znów dał o sobie znać, bo porwał konia, co pasł się na pobliskiej łące. A potem dwie krowy! Teraz już strach zaczął wszystkich na nowo ogarniać, a potwór stawał się coraz zuchwalszy i wreszcie stało się tak, że wychynawszy z jaskini napadł na dziewczęta, które zbierały zioła. Jedną z nich pochwycił, a ta druga, która uszła z życiem, straciła przytomność i leżała jak we śnie. Zrywała się tylko co jakiś czas i wołała, że potwór za nią goni, że ogniem zionie z paszczy.

— Smok to jest i biada nam! — orzekli wtenczas najstarsi ludzie, którzy wiedzieli niejedno i o niejednym słyszeli. — Smok to jest i nikt mu nie da rady!

— Jakże to jest możliwe, aby nikt mu nie dał rady? — oburzył się wtedy szewc Skuba. — A bośmy to jacyś tchórze albo niedołęgi? Czy mamy ukryć się w chatach i patrzeć, jak ta bestia nas krzywdzi?

Na to wołanie szewca Skuby jeszcze tego samego dnia zebrali się na podgrodziu młodzi i starsi śmiałkowie i, uzbrojeni w łuki i oszczepy, ruszyli, aby dopaść smoka i zglądzić go raz na zawsze.

Podeszli odważnie do pieczary, z której zionął jakiś cuchnący opar, nie zlekli się ryku potwora, ale ukryci za załomami skał czekali na niego, a gdy wychynął z jamy, zaczęli razić go strzałami. Na próżno jednak napinali z całej siły łuki — żelazne groty strzał odbijały się od twardej łuski pokrywającej smocze cielsko. Rzucane celnie oszczepy też nie mogły jej przebić.

— Co począć? — mówili więc mężczyźni i rozkładali ręce, bo nic nie mogli poradzić. A kobiety po prostu płakały.

— Co począć? — rozważał książę Krak, gdy dochodziły do niego te żalosne wiadomości i skargi. A gdy mu donoszono o nowym porwaniu, o nowym nieszczęściu, przybywało siwych włosów na książęcej głowie. Załamywał ręce i ogarnięty rozpaczą przemierzał szybkimi krokami rozległe izby.

Wreszcie pewnego dnia, kiedy siedział pogrążony w ponurej zadumie, naraz jakby mu myśl jakaś nowa błysnęła i kazał co prędzej wezwać do siebie szewca Skubę.

Przybył więc szewc Skuba do książęcego dworu, a książę Krak

posadził go przy sobie i, popijając sycony miód, odbyli tajemną naradę. Co mówili, nie wiadomo, tyle że po powrocie do domu wybrał Skuba największą skórę barania, jaką tylko można było mieć, nakładł do niej ile wlezie smoły gorącej i żarzących się węgli, których mu przynieśli węglarze, i jeszcze nieco siarki dosypał, a potem wziął szydło i dratwę i zaszył to wszystko w owej baraniej skórze. Mocno, porządnie zaszył, bo był rzetelnym szewcem i znał swoje rzemiosło. Gdy zaś ukończył robotę, zaraz zawołał dwóch odważnych chłopaków i kazał im wziąć barana i razem z nimi ruszył pod tę pieczarę, gdzie mieszkał potwór.

— Rzućcie tu tę ogniem naładowaną skórę — powiedział — i sami uciekajcie!

Zrobili więc, jak kazał, bo był człowiekiem godnym i poważanie miał u ludzi. Rzucili barana, jak im rzekł, ale Skuby nie chcieli zostawić samotnie naprzeciw smoka.

— Nie będzie tu Skuba sam — usłyszeli naraz głos księcia Kraka — bo razem z nim ja stawam tu w potrzebie!

Obejrzeli się więc chłopcy, a na skarpie, opodal jamy, stał książę Krak, sam, uzbrojony w miecz i w tarczę.

— A wy oddalcie się — rozkazał książę — nie chcę, aby was stwora chwyciła. Dosyć już było krzywdy ludzkiej w moim narodzie.

Zaczęli więc prosić, aby im pozwolił zostać, że nie ulęką się jaszczura, ale książę już tylko w milczeniu skinął mieczem, dając im znak, aby odeszli.

Oddalili się więc, lecz tylko na tyle, by książę i Skuba widzieć ich nie mogli. Ukryli się za urwiskiem nadrzecznym i czekali z niepokojem, gotowi w razie potrzeby biec z pomocą.

Niedługo trwało to oczekiwanie, bo ledwie tyle czasu, ile trzeba, aby obłok przeleciał po niebie, niesiony wiatrem, kiedy usłyszeli straszliwy ryk potwora. Wydało się im, że ziemia drży pod ich stopami, że skały nadrzeczne poruszyły się. Pobledli tak jak owe płaty płótna, które kobiety zwykły bielić na łąkach nadrzecznych. A zaraz, ujawszy się za ręce dla dodania sobie otuchy i odwagi, wyjrzeli trwożnie spoza załomu skały. Aż nogi się pod nimi ugięły, kiedy zobaczyli na własne oczy owego

smoka. Wylazil ze swojej pieczary, podobny do przeogromnej jaszczury. Cielsko pokryte mial kolcami i wlókl się powoli na krótkich, palczastych łapach, zakończonych krogulczymi pazurami. Ale najbardziej przerażająca wydała się im jego paszcza ogromna i szeroko rozwarta, z ostrymi zębami jak noże. Dojrzał widać ten potwór porzuconego przed jamą barana i ryknął tak głośno, że można by pomyśleć, iż to burza nadciąga i grzmot przewala się po niebie. Potem rzucił się łapczywie na przynętę. Niewielki to był dla niego kąsek, toteż połknął go szybko. Ale ledwo to się stało, zaryczał jeszcze straszniej, bo widać smoła i węgle, a także siarka, chytrze zaszyte w baraniej skórze, zaczęły płonąć w jego wnętrzu. Zakolysał łbem, zaryczał znowu i powlókł się na brzeg Wisły, aby wodą ugasić ten ogień. I wtedy to książę Krak, jednym cięciem swego miecza, który w słońcu błysnął srebrzyście jak błyskawica — zabił potwora.

I tak zginął podwawelski smok. A ludzie na podgrodzium żyli znów w spokoju, wśród żyznych nadwiślańskich pól, sławiąc odwagę księcia Kraka i mądrość szewca Skuby. Sława ta zaś przetrwała przez setki lat. Aż po dzień dzisiejszy.

